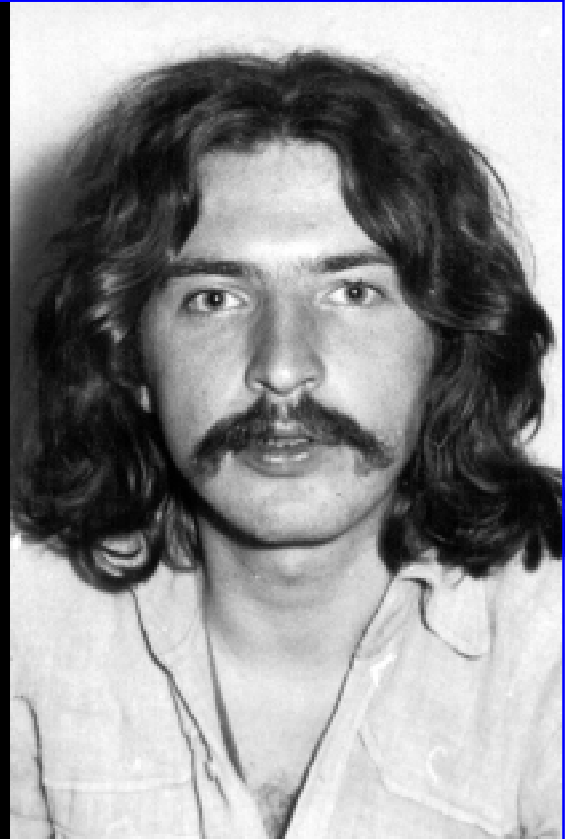


Wspomnienie o Wojtku Bellonie

WIECZNY WĘDROWIEC BOŻY



Wojtek Bellon

- ten Wieczny Wędrowiec Boży - zjawiał się najczęściej niespodziewanie i to zwykle wtedy, gdy był najbardziej potrzebny. Umiał i potrafił jak nikt chyba inny doradzić, pomóc czy rozładować trudną sytuację - nawet wtedy, gdy sam był w poważnych tarapatkach, a tych los mu nie szczędził. Kierował się przy tym zasadami moralnie prostymi, ale pewnymi i sprawiedliwymi. On po prostu kochał ludzi. Zabrzmi to pewnie dla niektórych zbyt banalnie i staroświecko, ale nie boję się tego banału wygłosić, gdy chodzi o Wojtkę - to przy nim nabiera on pierwotnego, właściwego, głębokiego znaczenia, bo kochać ludzi to także i przede wszystkim piętnować głupotę, tępotę, fałsz i obłudę.

Czasem wpadał z ważną sprawą, czasem z dobrą nowiną. Któregoś lutowego, a może marcowego dnia przyszedł bardziej ożywiony - zaproponowali mi wydanie tomiku przy „Kalamburze”. Powoli staję się klasykiem - zażartował. Ta dobra wiadomość przypieczętowana została kilkoma kieliszkami „orzeczków”. Jeszcze pod koniec kwietnia, Wojtek ponownie wrócił do swej książki. Tym razem umówił się ze mną, że usiądziemy nad jego pieśniami i wierszami. - Pomóżesz mi zredagować - zaproponował. Cieszył się, choć tego zbyt nie okazywał, że jego opowieści - tak, bowiem nazywał swoją twórczość - rozproszone po ludziach i po świecie ukażą się w tomiku. Nawet gromadził powoli swe

utwory - choć wcześniej nigdy przesadnie nie dbał o to - pisał do przyjaciół, którym swego czasu ofiarował rękopisy, odgrzebywał w swoim archiwum stare zapiski wcześniejszych pieśni. Umówiliśmy się na pierwsze dni maja, w jego krakowskim mieszkaniu przy ul. Józefa, czyli na „Kazimierzu” - jak powiadał, naśladowając gwara dzielnicy.

3 maja 1985 r. Wojtek Bellon już nie żył. Zmarł w Krakowie, mając zaledwie 33 lata. W nekrologu, który ukazał się nazajutrz w „Echu Krakowa” pisałem: „3 bm. zmarł w Krakowie w wieku 33 lat Wojciech Bellon - poeta, kompozytor, pieśniarz. Początki Jego działalności artystycznej wywodziły się ze studenckiego ruchu kulturalnego - był laureatem Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie. Stworzył „Wolną Grupę Bukowinę” - zespół, który śpiewał Jego opowieści o życiu - tak nazywał sam swoje pieśni. Grupa ta przeszła do historii nie tylko studenckiej estrady jako najwybitniejszy z wielu zespołów śpiewających poezję. Wojciech Bellon osiągnął wielki sukces, bo Jego pieśni na stałe zadomowiły się w repertuarze rówieśników i młodszych pokoleń, mimo że był śpiewającym poetą, którego rzadko proszono do telewizji czy radia. W „Lirycznej piosence dla Wacka” - jednym z ostatnich swych utworów pisał m.in.:

*„(...) i brakuje mi w sobie tej siły
której braku nie dostrzegłem nigdy
by odróżnić racje tych, co są
od racji tych, którzy byli (...)”*

„Odszedł Człowiek i Artysta wrażliwy, twórczy, przepelniony miłością i życzliwością do świata i ludzi, po którym na zawsze pozostanie pustka nie do wypełnienia.”

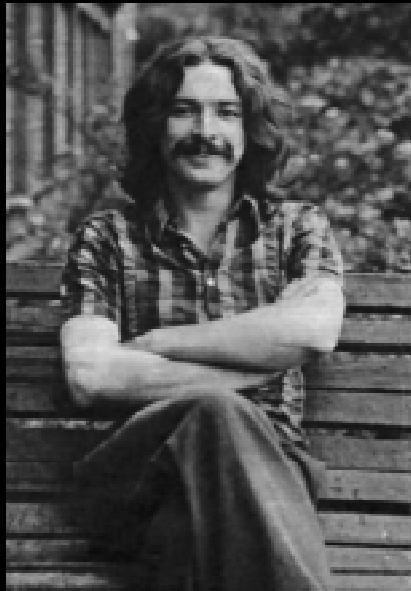
Tyle nekrolog napisany drżącą ręką, zamieszczony w piśmie dziennym ograniczający się do kilku istotnych faktów z krótkiego, ale jakże bujnego i twórczego życia Wiecznego Wędrowca Bożego. Ale „prawdziwy artysta nigdy nie odchodzi cały”. Wojtkowi - jak mało któremu twórcy - udało się to, że jego pieśni, mimo iż rzadko prezentowano je w radiu czy telewizji, znane są szeroko i śpiewa je wielu ludzi. Ci najmłodszy wykonawcy Wojtkowych opowieści, że to już nawet nie bardzo wiedzą, kto je napisał, zresztą nie tylko ci najmłodszy, bo wiele z tych pieśni zadomowiło się na stałe, a śpiewający je nie zastanawiają się, kto je stworzył. Ot, były zawsze, był wiatr, był deszcz czy góry. I to jest największy sukces artysty, kiedy jego twórczość staje się własnością wspólną, wręcz anonimową. To prawie tak, jak ze znaną i piękną kolędą „Bóg się rodzi”. Czy śpiewając ją zastanawiamy się, że napisał ją Franciszek Karpiński?

Są twórcy, którzy życiem swoim zaświadcza i tworzą sztukę, nie dbając zbyt, aby ją utrwalić. Do nich należał Wojtek. Stąd ulotne rozmowy z nim, pełne mądrości życiowej, które na zawsze pozostały w pamięci, były fajerwerkami pomysłów i prawdziwymi uctami dla ducha, zaprawionymi specyficznym humorem. Wojtek sypał pomysłami jak z rękawa, umiał podpatrywać życie. Wiele z nich wykorzystali inni. On zdawał sobie doskonale sprawę, ale nie był zdziwiony czy zazdrosny.

Do Krakowa Wojtek przywędrował z Buska Zdroju. Zawsze zresztą podkreślał swoją „buskość”. Lubił tę miejscowość, choć nie było to jego miasto rodzinne. Opowiadał o jego mieszkańcach ciepło i serdecznie, ale gdy trzeba było piętnował ich wady i ośmieszał przywary. Dostrzegał również ich radość i dramaty. A świadczy o tym najlepiej „Ballada o Czesku Piekarczy”, którego uwiecznił w znakomity, ale jakże tragiczny sposób. Czasem żartował, nazywając to miasto Busko - Busko, wzorem Baden - Baden, światowej sławy uzdrowisko znanego od czasów rzymskich. Było to Wojtkowe podmieście, które się znanego, modnego, często reklamowanego, na które ludzie się snobują.

Mimo że przemieszkował wcześniej m.in.: i w Skarżysku-Kamiennej i - bodajże - w Kętrzynie - kto wie czy te częste zmiany miejsca zamieszkania nie wpłynęły na późniejsze jego wieczne wędrowanie - to jednak z Buskiem był chyba najbardziej związany emocjonalnie, oczywiście poza Krakowem. Trudno temu się dziwić. W Busku znajdował przede wszystkim zawsze serdeczną, pomocną dłoń matki, tu także mógł liczyć na męską poradę płynącą z ojcowskiego serca.

Tu spędził najpiękniejsze lata młodości. Tutaj zaczynała się jego działalność artystyczna. Wojtek pewnie, gdyby to czytał, uśmiełby się szczerze z tego szumnego mojego określenia. Było to po prostu - jak on to był powiedział - granie na gitarze własnych piosenek. Było również poszukiwanie tego co nowe, co modne. Tu odbywały się pierwsze happeningi, po których Busko - Busko długo nie mogło przyjść do siebie, bo Wojtek ze swymi przyjaciółmi nie dość, że szokowali samą formą, to jeszcze wystąpili w kalesonach i gdyby nie interwencja dyrektora miejscowego Liceum Ogólnokształcącego, do którego i Wojtek uczęszczał, nie wiadomo, jak by się to skończyło. Dyrektor po prostu przerwał spektakl. Potem był kabaret.



Pierwszy i chyba ostatni program nazywał się: „Odkrycie i opisanie Bukowiny”. I tak zaczęła się Wolna Grupa Bukowina. Była to prawdziwie wolna grupa bardzo młodych ludzi, kochających góry i po nich wędrujących, a duszą wszystkich począł być Wojtek. Dotarli oni do Szklarskiej Poręby i tam na Giełdzie Piosenki Turystycznej zadebiutowali. I od razu sukces. Piosenką Wojtka Bellona „Ponidzie” wyśpiewali jedną z głównych nagród. To był rok 1971. Wojtek właśnie zdawał maturę.

Potem wraz z Wojtkiem „Bukowina” trafiła do Krakowa. Jej twórca w ostatnim swoim wywiadzie udzielonym na miesiąc przed śmiercią Piotrowi Bakalowi i opublikowanym 16 czerwca 1985 r. w *ltd.* „tak mówił o jej początkach: „Bukowina” była wtedy hasłem wywoławczym dla określonej grupy ludzi, którzy się w pewnym momencie skrzyknęli i razem śpiewali. Z późniejszego zespołu były tylko dwie osoby - Grażyna Kulawik zwana Zajączkiem i ja. Już następnego roku okazało się, że dzięki naszemu pobytowi na giełdzie „podłączył się” (a dosłownie został zaproszony do udziału i akceptował formułę) Wojtek Jarociński, który jako jeden z kilku wpływał później na muzyczną stronę grupy”. I dalej na pytanie Piotra Bakala: Czy uważasz, że Wolna Grupa Bukowina odniosła sukces artystyczny w skali kraju? Wojtek mówi: „Wydaje mi się, że nie, jeżeli chodzi o komercyjność, o sprzedawanie się. „Bukowina” przestała istnieć chyba już w momencie, gdy zaczęło się tylko granie. Dlatego, że wówczas przestała istnieć idea, która była istotna, czyli trasa, trasa i jeszcze raz trasa. Ponadto - jakoś nigdy nie zabiegaliśmy o to, żeby nami się zainteresowano, nie dbaliśmy o to. Akurat nie było takich ludzi, oprócz paru osób, którzy sami się zaferowali i chcieli nas promować. I tak się grało po klubach, po klubach, po klubach, po estradach, po składankach i na tym się skończyło. Niemniej wydaje mi się, że odnieśliśmy inny sukces. Taki, że jak dzisiaj przychodzę do schroniska i słyszę swoje piosenki czy Jarocińskiego, czy Juszczyzna. I to jest sukces, który co prawda nie jest wymierny finansowo, za to w świadomości...”

W tej wypowiedzi jest cały Wojtek, który potrafił do końca walczyć o czyjeś sprawy, bronić przyjaciół - nawet dosłownie, gdy trzeba było, stając do walki na pięści - kiedy podchmielnemu chuliganowi, pseudomiłośnikowi muzyki, nie podobał się czyjś nos lub dłuższe włosy.

O swoje sprawy nie umiał zabiegać, zresztą może i umiałby, ale nigdy nie podjął się takiej metody. To go nie interesowało, a i inni - mając możliwości nie bardzo się kwapili z pomocą przy wejściu „Bukowiny” na szersze „antenowe wody”. Nawet jeden z większych programów telewizyjnych jaki Magda Umer nakręciła z „Bukowiną” - „Piosenki wiatrem podszyte” - został skasowany, trudno przypuszczać, że chodziło tu o oszczędność taśmy filmowej.

Fenomen Wojtka Bellona = wiecznego Wędrowca Bożego - polegał jeszcze na tym, że w każdym niemal mieście a nawet miasteczku miał kogoś z bliskich - przyjaciół albo znajomych. Gdzie się tylko pojawił, zaraz jakby spod ziemi wyrastali wielbiciele jego mądrych pieśni. Rozmowy i śpiewanie przedłużały się do późnych godzin nocnych. Zjednywał sobie swym śpiewaniem docentów, profesorów, stróżów nocnych, go-prowców - sam był jednym z nich przez dłuższy czas - ludzi gór i nizin. Dla niego liczył się przede wszystkim człowiek wrażliwy, dlatego nikomu nie zaglądał w papiery. Jak nikt wy-czulony był na wszelki fałsz, gdy chciano go zaszuffadkować.

Uważał - i słusznie - że tego, co robi nie należy łączyć - li tylko - z piosenką turystyczną czy klasyfikować w kategorii piosenki studenckiej albo odbierać jako poezję śpiewaną. „Bukowina” proponowała po prostu dobrą piosenkę czy pieśń raczej z pięknym, poetyckim tekstem.

Tak jak przyjaciel miał Wojtek wszędzie, tak i jego domem było wszystko: góry, krakowski „Kazimierz”, kufel piwa okocimskiego, ulice i dworce miast, hotele, z kieliszkiem „orzeczków” w herbie, trasy z programem „Gitarą i piórem”. Tak naprawdę marzył on o domu „bukowym koniecznie, pachnącym, słonecznym, gdzie wieczorem wiatr gra, a zegar na ścianie gwarzy”. Wiedział, że takiego domu nie ma, bo zawsze pozostanie on tylko w wyobraźni, więc może dlatego tym bardziej go szukał:

*Szukam, szukania mi trzeba
Domu, gitarą i piórem
A góry nade mną jak niebo
A niebo nade mną jak góry
(Sielanka o domu)*

Motyw dociekania prawdy często pojawia się w tekstach Wojtka, choćby w „Piosence o poszukiwaniu”:

*szukałem już w wierze
w miłości szukałem
nadziei zostało niewiele
gdzie znaleźć tę wiedzę o prawdzie gdzie znaleźć
niech będzie to prawda w milczeniu*

Nie można znaleźć domu bukowego, pachnącego i słonecznego, nie można też znaleźć Bukowiny, choć szuka się jej już „godzin krocie i dni krocie” choć Bukowina woła wciąż do siebie. A mimo wszystko trzeba szukać:

*I nie mogę znaleźć Bukowiny
I nie mogę
Chociaż gwiazdy mnie prowadzą ciągle szukam
(Bukowina I)*

Nie ma już domu bukowego, nie ma Bukowiny, mimo upartych poszukiwań, jest natomiast - chcąc nie chcąc - miasto, ulice przepełnione, poematy w beretach, kobiety pracujące i knajpy:

*Płyną ludzie miastem szarzy
Pozbawieni złudzeń marzeń
Wymijając wciąż główny nurt
Kryją się w swych norach krecich
I śnić nawet o karecie
Co śnić słońcem nie potrafią już
(Nocna piosenka w mieście)*

Ale może być i tak:

*Kolejka od czwartej nad ranem
Ten spod piątki jak zwykle pijany
Że też żona na niego bluźni
Ty na obiad jak zwykle się spóźnisz
Dziecko spać nie chce balanga na górze
Ileż można wytrzymać tak dłużej(...)
(Sad)*

Wojtkowe poszukiwania są coraz bardziej nerwowe. Czyżby świadomość (podświadomość) dawała o sobie znać, że trzeba będzie wkrótce jak Majster Bieda: „z rudymi liśćmi jesienie schedą wiatrem niesionym popłynąć w przeszłość”. Widać to nawet w na pozór banalnej, zabawnej i surrealistycznej „Piosence o zajączku”:

*Mam mało czasu tak mało jak piachu
W dziecięcej garści nad rzeką
Zawieram powieki zatrzymać obraz
Co z moich wspomnień wycieka*

Przy czym uratować chciałoby się prawie nic, choć aż tyle, czyli trochę koloru wiosny, a może bardziej bez troskiej młodości:

*Wieczność zieloność zachować w oczach
Tak wiele pragnę tak mało*

Później przychodzi prawie pewność, że do Majstra Biedy już tylko krok:

*Jakże blisko zostało mi do końca tej Podróży
Przyspieszam więc lkara lot
By cię ujrzeć
I niczym ćma do butelki Ignę, by się upić
I śmieję się, wciąż się śmieję
By się wzruszyć.
(Jakże blisko)*

W ostatnią trasę Wojtek pojechał z programem „Gitarą i piórem” do Włodawy. Wybraliśmy się tam wspólnie. Był - jak zwykle w dobrej formie. Snuł plany związane z nowym programem, zresztą sam go wymyślił. Tym razem miał to być program bardziej „krakowski”. Miały go wypełnić opowieści „rozliczeniowe” z życiem, sumujące zdobyte doświadczenia. Wojtek tworzył go cały czas w rozmowach, w trasie, ale nigdy przy biurku. Od razu konsultował na gorąco to, co napisał. Kto z przyjaciół był w zasięgu głosu, w zasięgu serca, ten słuchał. Właśnie wtedy dla Mikołaja Korzistki i dla mnie czytał w przedziale utwór z tego właśnie programu, którego już nigdy nie dokończy. Jest to „Historia o moim Krakowie”. Wydawać by się mogło, że Wojtek - jak nikt z bliskich mi przyjaciół i znajomych - potrafił łamać się z życiem, wygrywać ten jedyny na świecie, fenomenalny pojedynek. Jego otwartość na świat i na ludzi, których zjednywał sobie w jednej minucie, mogłaby również o tym świadczyć. I tak istotnie było. Ale cena, jaką za to płacił, była bardzo wysoka Wojtek spalał się na stosie sztuki i życia. Ta wrażliwa, bratnia dusza nie mogła sobie czasem poradzić z otaczającym go chamstwem, głupotą, fałszem i zakłamaniami, mimo że silny był wyjątkowo. Dlatego czasem miałem odczucie, że sam przyspiesza „lkara lot”. Wieczny Wędrowiec Boży dotknął słońca i piekła. Kiedy śpiewał swe opowieści o życiu, nie było obojętnych na tę spowiedź wielkiego indywidualisty, ale gdy roznosił mleko, bo śpiewać nie można było, pozostał sobą. W tym człowieku nie było nuty zakłamania. Zjednął pod sztandarem bukowińskim grono przyjaciół, którzy do dziś nie mogą pogodzić się z jego odejściem. Wszyscy jednak pocieszamy się, że dzisiaj już może odnalazł Wojtek gdzieś na „bezkresnych nieba przestrzeniach” swój dom „bukowy koniecznie pachnący i słoneczny”, a także swoją wymarzoną Bukowinę.

Adam Ziemianin

foto. B. Ptak